Nr. 19. Lwów dnia 8. Czerwca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 zlr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 zlr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia Ka. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*" wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przekształcając gimnazyum nowodworskie, starał się Kołłątaj równocześnie przygotowywać wszystko, co było potrzebnem do przedsięwzięcia zamierzonej przez komisyę edukacyjną reformy akademii krakowskiej. Zbadał też bardzo dokładnie tak usposobienia samychże profesorów, jak również stan jej pod względem naukowym i ekonomicznym. Wyrozumiał przytem starszyznę akademicką, czy i w jakiej rozciągłości za uzyskanie potrzebnych od komisyi edukacyjnej funduszów gotowa popierać zamierzony plan reformy. Wszystko to wyświecił najgruntowniej w swem sprawozdaniu, przedłożonem komisyi i wskazał oraz sposoby wzięcia się do dzieła.

Mimo częściowego już wdrożenia myśli reformy akademii w samym Krakowie, było przeprowadzenie tejże z mnogiemi połączone trudnościami. Komisya nie wątpiła wprawdzie, że Kołłątaj, który sam jej ofiarował usługi swe w tej sprawie trudnej i drażliwej, sprosta najzupełniej zadaniu, lecz uwzględniając wiek jego młody i nie dość jeszcze wybitne stanowisko w hierarchii społecznej, zamianowała osobną deputacyę, której powierzyła zreformowanie naprzód wydziału teologicznego a następnie reszty akademii. Na czele deputacyi był Krzysztof Szembek, koadiutor biskupstwa płockiego, a do składu jej weszli ks. Józef Olechowski, archidyakon krakowski, Józef Bogucicki, profesor akademii i Kołłątaj. Duszą całej deputacyi był Kołłątaj, a gdy dzięki jego staraniom udało się najpomyślniej zreformowanie wydziału teologicznego, udzieliła mu komisya edukacyjna pod koniec 1778 roku tytułu wizytatora akademii, upoważniła go do podjęcia w jej imieniu wszelkich czynności tego urzędu i przepisała obowiązki z nim połączone. Teraz przystąpił Kołłątaj z całą sprężystością do bezzwłocznego wykonania poruczonej mu pracy.

Zaprzągł się też do niej z podziwienia godnym zapałem, w którym nie ostygł i na chwilę nawet dwuletnich mozołów. Chcąc bowiem wszystko na pewnej budować podstawie, musiał naprzód całe uporządkować archiwum akademii, a potem przewertować je najzupełniej, aby poznać prawa, nadania i przywileje a oraz fundusze tej szkoły głównej. Zaprowadziwszy więc na razie niektóre mniej znaczne odmiany w sposobie i porządku wykładów akademickich a szczególniej na wydziale filozoficznym, rozdzielił całą pracę na trzy części. Naprzód zbadał bardzo dokładnie stan funduszów, jakimi może jeszcze rozrządzać akademia, aby wykazać, ile komisya edukacyjna będzie musiała dodawać z innych źródeł na jej utrzymanie. Przystąpił potem do wyświecenia praw i przywilejów a oraz dziejów akademii, poczynając od jej założenia aż do chwili zamierzonej reformy. Po załatwieniu dopiero obu tych czynności ważnych ułożył gruntowny plan, w którym zestawił wszystkie odmiany, jakie poczynić wypadnie w naukach i osobach. Rozważając dziś bez uprzedzenia ogrom podjętej i wykonanej przez Kałłątaja w ciągu dwulecia pracy, trzeba rzeczywiście podziwiać żelazną jego wytrwałość a oraz zdolności, których przytem złożył dowody. Niezmordowany pracował dzień i noc prawie, odmawiając sobie wszelkiego wytchnienia, dokąd poruczonego nie dokonał dzieła. Gorąca jedynie miłość ojczyzny i to przekonanie, że w wszechstronnem tylko przekształceniu całego wychowania publicznego spoczywa nadzieja odrodzenia ojczyzny, mogły natchnąć do podjęcia się takiej pracy i dostarczać mu sił w jej dokonaniu, a szczególniej w łamaniu się z trudnościami, które spotykał na każdym kroku

Wykazanie dokładne wszystkich funduszów akademii i wyczerpujące opracowanie jej 4-wiekowych dziejów, które były oraz dziejami rozwoju nauk i całego wychowania publicznego w Polsce, wymagały wprawdzie wiele mozołu, lecz nie narażały przynajmniej pracownika na tysiączne nieprzyjemności i na odpowiedzialność. Trzecia jednakże część roboty, t. j. plan odmian w naukach i osobach była dlań najciernistszą, ponieważ narażała go z jednej strony na odpowiedzialność ciężką, jeżeli skutek pomyślny nie uwieńczy jego usiłowań, a z drugiej na narzekania i niechęć tych wszystkich, których albo musiał usunąć z posad, albo nie umieścił w gronie akademików. Wiedział o tem Kołłątaj, a mimo to nie uląkł się ani odpowiedzialności ani możliwego narzekania na niesprawiedliwość, że usuwa ludzi zasłużonych od dalszych czynności w zawodzie nauczycielskim. Pracując dla przyszłości, nie troszczył się o chwilowe niezadowolenie tych, których dotknie chociażby i boleśnie nowy porządek rzeczy. Chcąc bowiem cały plan reformy przeprowadzić we wszystkich szczegółach, nie mógł tego powierzać ludziom, którzy za nadto zrośli się z dawnym zwyczajem i trybem uczenia, by przy najlepszych nawet chęciach mogli od razu przejąć się obowiązkami, jakie na każdego z profesorów wkładał nowy kierunek wychowania publicznego. Kołłątaj przewidywał wprawdzie, że na miejsce dawniejszych nie zawsze znajdzie równie zdolnych, lecz wolał użyć siły świeże, poddające się łatwiej wskazanemu kierunkowi, niż parać się nieustannie z nawyknieniami, które mogły szkodliwie oddziaływać na całość planu naukowego. Jak zaś ile możności starał się dawnych profesorów zastąpić nowymi, tak był najprzeciwniejszy sprowadzaniu cudzoziemców na katedry, ponieważ dowodził słusznie, że cudzoziemiec chociażby nawet najzdolniejszy, lecz obcy krajowi mową i obyczajami, nigdy nie przywiąże się doń miłością synowską, a jak z interesu przyjmie katedrę, tak nie będzie pracował z taką gorliwością i poświęceniem, jakiej po krajowcach mniej wprawdzie zdolnych można się zawsze spodziewać. Chcąc zresztą, aby język ojczysty był wykładowym w akademii, nie mógł się już z tego powodu oświadczać za sprowadzaniem cudzoziemców na katedry wakujące.

Przedkładając komisyi edukacyjnej sprawozdanie z swych czynności dwuletnich wraz z prośbą o zatwierdzenie całego planu reformy akademii, przedłożył przytem i doskonale obmyślony projekt rządu szkolnego, którym objął wszystkie szczeble wychowania publicznego, poczynając od szkół początkowych czyli parafialnych a kończąc na uniwersytetach. Według projektu tego miały być pod zwierzchnim zarządem komisyi edukacyjnej jako naczelnej władzy, kierującej całem wychowaniem publicznem w Rptej, trzy okręgi naukowe, reprezentowane w trzech uniwersytetach, t. j. małopolski, wielkopolski i litewski. Małopolska miała już uniwersytet w Krakowie, a Litwa w Wilnie, trzeci zaś miał powstać staraniem komisyi w Poznaniu. Okręgiem naukowym zarządzała rada czyli senat akademicki złożony z rektora i wybranych z grona profesorskiego członków, który miał wydawać podwładnym szkołom swe polecenia a nad ich wykonaniem czuwać przez wysełanie swych wizytatorów. W każdem województwie miała być szkoła wyższa wojewódzka czyli wydziałowa, a jej rektorowi podlegać szkoły powiatowe czyli podwydziałowe, a tym znów szkoły początkowe czyli parafialne. Najważniejszą częścią całego projektu było postanowienie, że nikomu nie wolno wzbraniać przystępu do szkół, czem Kołłątaj chciał powoli zbliżyć do siebie wszystkie warstwy społeczeństwa.

Całą pracę Kołłątaja w trzech wielkich foliantach zawartą poleciła komisya edukacyjna zbadać Ignacemu Potockiemu, który o niej jak najpochlebniejsze wynurzył zdanie, czem też spowodował komisyę do zatwierdzenia wszystkiego. W uznaniu zaś zasług położonych w zreformowaniu akademii nadano Kołłątajowi tytuł pierwszego emeryta tejże, a pierwszym rektorem akademii zreformowanej został Antoni Żołędziowski, kanonik krakowski, mąż bardzo gorliwy o dobro jej i nauk.

IV.

Jak z jednej strony miał Kołłątaj w uznaniu swej gorliwości zachętę do dalszej pracy, tak musiał z drugiej równocześnie niemal doświadczyć skutków niechęci i zazdrości tych, którzy od dawna krzywem patrzyli okiem na jego wziętość i sławę. Nikt nie wchodził w rozbiór pytania, czy którykolwiek z bogato uposażonych w chleb duchowny lub w starostwa mógł w jakiejś przynajmniej części wykazać się takiemi jak były przezeń podjęte dla dobra powszechnego prace, lecz wszyscy brali mu za złe, że pracując bezpłatnie na urzędzie wizytatora i zadłużywszy się z tego powodu, starał się równie innym i to drogami wówczas utartemi o zabezpieczenie sobie dochodów na życie wygodne i na wspieranie drugich. Nie myślę tu go bronić bynajmniej, ponieważ wolałbym, by i pod tym względem był się okazał wyższym nad owoczesne znakomitości w Polsce. Nie byłoby go to ochroniło zapewne od potwarzy, jak znana bezinteresowność i obojętność na wygody życia nie uwolniły Lelewela od pocisków ludzi stronniczych lub powodujących się złą wiarą, lecz prześladowcy jego nie mogliby przynajmniej wskazywać z tryumfem na to jako na ujemne strony jego charakteru, aby potem w świat wmawiać, że interes własny górował u niego nad miłością ojczyzny!

Z powodu dzierżawy wsi Bieńczyc, należącej do probostwa św. Floryana, wytoczono mu obrzydliwy proces w sądzie biskupim, na który sprowadzono mieszkającego od lat kilku zdala od spraw publicznych biskupa Sołtyka. Przeciwnicy Kołłątaja odnieśli najzupełniejsze zwycięstwo, ponieważ rozdrażniony przez nich Sołtyk skazał go na utratę wszystkich beneficyów duchownych i na więzienie, gdyby się pojawił w dyecezyi krakowskiej. Lecz tryumf ich nie był długotrwałym, ponieważ sam Sołtyk uniewinnił Kołłątaja, a jego oskarzycieli zhańbił w oczach publiczności, czem ich przywiódł do wezwania pomocy rady nieustającej, która osadziła Sołtyka jako obłąkanego w Kielcach. Sąd zaś prymasowski zniósł dawniejszy wyrok sądu biskupiego zapadły przeciw Kołłątajowi i nakazał zupełne umorzenie tej sprawy. Lecz przez dwa lata musiał Kołłątaj ciężko doświadczać skutków nieprawości ludzkiej, co go jednakże nie odstraszyło od dalszej służby publicznej.

Zreformowana przezeń akademia nie mogła z powodu właśnie zajść tych w sądzie biskupim rozwijać się w kierunku nowym. Uczuli to wszyscy profesorowie, że do dokonania tak świetnie zaczętego dzieła potrzeba im na sternika koniecznie Kołłątaja, który najlepiej potrafi wszystko przywieść do ładu. W myśl więc jednozgodnej uchwały wysłali w kwietniu 1782 prośbę do komisyi edukacyjnej, aby Kołłątaja umocowała do kończenia wizyty. Tej prośbie stało się zadość, a z końcem Czerwca stanął Kołłątaj znów w Krakowie, gdzie wspólnie z radą, złożoną z 8 profesorów akademii dalsze przedsięwziął prace. I te były najpomyślniejszym uwieńczone skutkiem, a wdzięczna akademia, dla której wizytator wyjednał u komisyi edukacyjnej potrzebne na wszystkie wydatki fundusze, obrała go z końcem 1782 na trzy lata swym rektorem. Popierany ufnością całego grona nauczycielskiego rozwinął Kołłątaj na tem stanowisku zaszczytnem

najzbawienniejszą działalność. Trzyletnie rektorstwo jego było nie tylko akademii ale i całemu wychowaniu publicznemu nader użytecznem. Nie unosząc się nigdy zarozumiałością, że ktoś inny nie może w tem lub owem mieć więcej doświadczenia lub rozleglejszej wiadomości, zasięgał zwykle zdania drugich, a dając wszystkim w sobie wzór pracowitości najwytrwalszej, zachęcał ich tem samem do współzawodnictwa w tej mierze. Wszędzie też okazał się ład i porządek, a że każdy chciał najsumienniej wykonać, co mu poruczono, szło wszystko najpomyślniej. Mnożyły się wykłady, utworzono i opatrzono dostatecznym funduszem szpital publiczny u św. Łazarza, udoskonalono cały wydział lekarski i oddział kliniczny, i spowodowano radę nieustającą, by skłoniła miasta polskie do utrzymywania corocznie 150 uczniów poświęcających się zawodowi lekarskiemu, przez co chciano pomnożyć w kraju liczbę zdolnych lekarzy, na których mu dotąd zbywało. Założono przytem seminaryum, w którem kosztem publicznym mieli się kształcić przyszli nauczyciele szkół wydziałowych i podwydziałowych. Wszystko to powstało za jego rektorstwa, a najwymowniejszym dowodem jego skutecznej działalności jest niezawodnie, że po jego ustąpieniu powstały zaraz w akademii nieporozumienia i spory szkodliwe całości, którym umiał z nieporównaną czynnością zaradzać. Gdyby nic więcej nie był dokonał, prócz reformy akademii i wychowania publicznego, byłby już za to samo zasłużył na uznanie i wdzięczność narodu.

(C. d. n.)

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z przekładu Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI

CYD
pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

8.

Pięć królików maurytańskich
Rozpędziło zagon krwawy
Po Kastylii żyznych błoniach,
Krzyk i śmierć są ich orszakiem!
Tam od Burgos, Montez d'Oca,
Belforado, San Domingo
I Naraxa już zniszczone,
Wszystko stoi w opuszczeniu...
Pędzą Maury trzody owiec,
Pędzą ludzi, chrześcyan, dzieci,
Męże, żony, córki, synów;
A te płaczą, te pytają:
„Matko! kędyż tak pójdziemy?..."
W pysze zdobycz już zbierają
Maury, w dom by wracać radzi,
I nikt nie śmie zajść im drogi,
Sam król nie śmie stawić czoła.
W Biwar, na ustronnym zamku
Doszła smutna wieść Rodryga;
Nie miał jeszcze lat dwudziestu,
Ale mężem czuł się już!
Rumak co się zwał Babieça
Zarżał — już Cyd na nim pędzi,
Jako Bóg na gromkim wozie
Chmur — tak pędzi w dziki kraj...
Już objechał swych wasalów
I zgromadził wszystkich razem
W Montez d'Oca, sprawił szyki
Iść gotowe z wrogiem w tan...
Mocny Boże!.. noga Maura
Tam nie uszła z boju żywa.
Trzody owiec zrabowane,
Męże, żony, dzieci, sługi,
Wszystkie ciągną do swych gniazd,
Wolne, szczęsne. Pięciu królów
Maurytańskich, Don Rodrigo
Śle królowi Don Fernando
Powiązanych — dumny Cyd!

9.

Na tronie zasiadł Fernando
Swych poddanych słuchać skargi,
I tych karać, tych nagradzać —
Bo lud żaden bez nagrody
I bez kary tu nie żyje —
Gdy w żałobnej, długiej szacie
Z trzystu ludzi się orszakiem
Stawi Ximena przed tron.
Na najniższym stopniu tronu
Tam przyklękła w swej pokorze
Córa dumna hrabi Gormaz,
Tak rozwodzi skarg swych żal:
— „Sześć miesięcy już minęło,
„Sześć miesięcy wielki królu
„Odkąd z ręki młodzieniaszka
„Padł szlachetny ojciec mój!...
„Cztery razy u stóp waszych,
„Cztery razy wasz majestat
„Swem królewskiem przyrzekł słowem
„Sprawiedliwość przyrzekł mi —
„Jeszczem jej nie doczekała!
„I szyderczo, mnie, Wam, prawu,
„Krzywdom moim się urąga
„Don Rodrigo ten z Biwaru —
„A ty bronisz go o królu,
„Bo kto z twoich śmiałby dworzan
„Mścić się nad nim, pierwby zląkł się
„Twej królewskiej zemsty sam?!
„Dobrzy króle są na ziemi
„Przypomnieniem Pana Boga,
„Źli, niewdzięczni wiernym sługom
„Sami niecą ogień wojny
„I nienawiść i przekleństwa
„Wywołują — w dniach rozpaczy.
„Pomyśl o tem wielki królu
„I przebaczyć racz sierocie,
„Której skarga rozpaczliwa
„Już wyrzutem Ci się staje!.."
— „Coś wyrzekła, toć wybaczam,"
Rzekł Fernando, — „lecz Ximeno
Dość słów twoich wysłuchałem,
I dla Ciebie Don Rodriga
Chcę zachować, i jak dzisiaj
O śmierć jego, tak mnie jutro
O pomyślność błagać będziesz!"

10.

Nigdy słuszniej rozgłos sławy
Nie brzmiał, jako Don Rodriga,
Bo pięć królów Maurytańskich,
Maurów z Morerei było
Jego męztwa pomnikami —
A gdy ślubem i przysięgą
Wazalami ich uczynił

*

I do danin zobowiązał,
Wszystkich znów odesłał całych,
Do ojczyzny wielkomyślnie.
Gdy po długich siedmiu leciech
(I lat sto by nie ustąpił!)
Król Fernando zdobył twierdzę
Koimbrę, co niezwalczona,
Mury, baszty najeżona
Padła wreszcie pod razami,
Matce bożej święcił kornie
Najwspanialszą w niej moszee...
Przed świątynią tą Rodrigo
Był na straży osobiście, —
Tu własnemi dłońmi król mu
Miecz przypasał, a królowa
Własną ręką do namiotu
Królewskiego go wprowadza;
A Infantka Don' Urraca
Złote sama mu ostrogi
Przytwierdziła i tak mówi:
— „Matko! Matko! co za rycerz!
„Piękniejszego nie znam — nic!
„O, szczęśliwe gminne dziewczę,
„Co się może bez obawy
„Podług swego obyczaju
„Nim nacieszać godzinami!
„A szczęśliwsza jego żona
„Które matka mu sędziwa
„Odda kiedyś, odda chętnie
„Najpiękniejszą, najlepszemu!..“
Tak mówiła króla córa,
Oczywiście nie ustami,
Lecz mówiła w cichem sercu,
Że aż pierś jej młotem biła...

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Noc była ciemna. Na ogniskach obozu naszego kucharze gotowali wieczerzę. W namiotach gwarzyły poufne grona i brzęczały herbatnie przybory. Odwiedzano się wzajemnie z namiotu do namiotu. Grona dam i mężczyzn krążyły przy blasku ognisk pomiędzy linią powozów, furgonów, bryk i koni uwiązanych z torbami do długich żerdzi i do wozów. Tłum służby pokojowej i stajennej uwijał się stosownie do potrzeby chwili. Było tam i poczciwych wieśniaków nie mało, których przezorniejsi dziedzice pociągnęli za sobą z transportem siana, owsa, piwa i prowizyi. Oryginalność tego obrazu nie miała sobie równej. Treść onego była pełną życia i rozmaitości.

O kroków dwadzieścia (mniej więcej) zaczynał się stan korpusu Sabaniejewa, którego prawe skrzydło zamykał pułk Azowski piechoty. [1]) Wszyscy oficerowie tego pułku byli moi dobrzy znajomi, albowiem kwaterując dość długo w naszym majątku odwiedzali nas bardzo często.

Najpierwszą u krańców Stanu była rota [2]) porucznika Chotmińskiego. [3]) Skorom się u czerty obozowej ukazał. poznał mię przy świetle ogniska, posadził obok siebie na trawie i szklaneczką niewykwintnego czaju ugościł. Nadeszło kilku starszych oficerów i rozlokowali się na ziemi u ogniska. Pomiędzy nimi było kilku takiej wybitnej ekscentryczności, że mi stoją dotąd przed oczyma. Podpułkownik Zacharewicz naprzykład cóż to za komiczna figura! Długi jak żerdź i równie suchy, z nosem jak flinta, który przy każdej zmianie temperatury hermetycznie bawełną zatykał z obawy kataru! Ileż to razy naśmieliśmy się serdecznie ze strzępków co mu z nosa wisiały jako suplement do rudej i krzaczystej szczeciny wąsów bohatera! O poczciwości jego wiele mówiono, co do mnie tyle tylko rzec mogę, że był *simplex servus Dei* i skoro gębę otworzył głupstwo z niej leciało. Rażnym kontrastem jego byli majorowie Dreszern [4]) i Białłozor. [5]) Pierwszy młody, przystojny i pełen salonowej ogłady. Drugi wysoki, laskonogi, twarzą wyrazisty, przesiąkły szlachetnością i dowcipem. On był poufnym przyjacielem każdego domu, pożądanym gościem każdego towarzystwa, wcieleniem przyzwoitego komizmu i niejadowitej satyry; bo przyzwoitość mieściła się w jego naturze a serce poczciwe jadu nie zawierało.

Leżąc u ogniska Zacharewicz napaplawszy do woli, ni w pięć ni w dziewięć, zachrapał szczęśliwie. Chotmiński wpadł na tor służbowego dyalogu. Dreszern zagaił krytykę manewrów dnia tego, a Białłozor śmiał się ironicznie, patrząc na obóz obywatelski i mówił:

— Dziwni ludzie! Włóczą się za armią i czego? To nie militaryzm owładnął nimi, ale szał dworszczyzny, któregom się w Polakach znaleźć nie spodziewał. Ich rzeczą siedzieć w domu, pilnować grzędy, ulegać władzy, (bo inaczej być nie może!) lecz nie nadskakiwać jej, bo to do niczego nie prowadzi i.. nieszlachetnie!

— Przeciwnie! — odezwał się Chotmiński — to się może podobać cesarzowi i zjednać dla nich łaskę jego.

— Łaskę? — przerwał Białłozor — alboż przystoi narodowi, co siebie szanuje ubiegać się o łaskę nieprzyjaciela?

— Nieprzyjaciela? — zawołałem zdziwiony — alboż cesarz jest naszym nieprzyjacielem?

Białłozor spojrzał znacząco na mnie i rzekł po chwili:

— Dwa są rodzaje nieprzyjaciół. Jeden groźny, co od razu napada i zabija. Drugi słodki, układny, co głaszcze, pieści, pochlebia, a zdradę w sercu knuje, jad w pocałunku zaszczepia. Pierwszy mniej niebezpieczny od drugiego. Otóż obrazem tego drugiego cesarz! Jedziecie na lep jego słodyczy, spieszycie na lep jego uściśnienia. Ostrożnie! bo zatruje! ostrożnie! bo zadławi!

Nie mogłem pojąć przenośnego sensu tych słów, wyrzeczonych z pewnym rodzajem egzaltacyi, jakiej nigdy dotąd w Białłozorze nie postrzegałem. Kiedym roztrząsał w sobie com słyszał, wpadł adjutant pułkowy, porucznik Rusanow, *) z naglącym rozkazem, żeby się

[1]) Dowódzca tego pułku Rusanow ożenił się z Polką, piękną Zofią Szolajską.
[2]) Kompania.
[3]) Był później jenerałem dywizyi.
[4]) Umarł niedawno, jenerałem dywizyi.
[5]) Zginął w r. 1827 na wojnie z Perzyą.

*) Synowiec dowódzcy pułku; zginął w r. 1828 przy szturmie Brailowa.

bataliony podniosły natychmiast do marszu i nic z sobą nie brały krom broni i patrontaszów z ładunkami. Dwudziestu ludzi z każdego batalionu miało zostać dla podsycenia ognisk i zachowania pozornego ruchu w obozie. Najsrożej zabroniono było żołnierzom kaszlać, chrząkać, kichać głośno, rozmawiać, albowiem dowódzcy korpusu szło najwięcej o to, żeby nieprzyjaciel myślał, że oprócz rozjazdów i placówek wszyscy spią w obozie.

W mgnieniu oka stanęły bataliony pod bronią na całej linii i ruszyły w milczeniu na wskazane punkta koncentracyi. Artylerzyści poobwijali koła lawetów słomą i powiedli zaprzęgi w ręku do naznaczonej mety. Dywizya kawaleryi, stojąca o werst parę dalej nie potrzebowała, ma się rozumieć, tylu ostrożności, bo gwar jej ruchu nie mógł dojść do nieprzyjaciela.

Wkrótce zrobiło się pusto w obozie, pusto na brzegu. Pozostali żołnierze zapalili swoje nosohrejki i usiedli kupkami przy swoich ogniskach, zawinąwszy się w *szynele*.

Co do mnie przerażony byłem tem niespodzianem odejściem wojska. Idea spisku poruszyła trwożnie myśl moją. Wyobrażałem sobie, że to był już początek buntowniczych ruchów, że to była wstępna scena krwawego dramatu rewolucyi i królobójstwa!

Żebym znał podówczas zbiorowe usposobienie żołnierza, nie trwożyłbym się tak dalece, albowiem pokazało się później, że ze strony żołnierza żadne cesarzowi nie groziło niebezpieczeństwo. Ale ja nie wiedziałem o tem i wiedzieć nie mogłem. Łatwo więc wyobrazić obawę moją, przerażenie, ba nawet wyrzut sumienia. Tajemnica, którę nosiłem w sobie, gryzła mię wewnątrz, toczyła, jakby się chciała wyjawić koniecznie na zewnątrz, wyrwać na swobodę.

Zbiegłem ze stromego brzegu ku rzece. Usiadłem na głazie. Poczerpnąłem usty wody. Pierś pałającą odkryłem nocnym powiewom. Spokojniej zrobiło się we mnie. Spojrzałem przed sobą. W cesarskim stanie cicho i głucho. U ognisk majaczą grona milczących cieni. Za to w pałacyku carskim ruch wielki. Wchodzą i wychodzą. Przy rzęsistem oświeceniu ganku widno żołnierzy na straży. Bagnety lśnią jak ostre promyki. Późno już, a cesarz nie spi jeszcze. Wszyscy więc czuwają. Tem lepiej! pomyślałem. Ale dlaczego czuwają?

Nagle posłyszałem ztyłu nad sobą głosy wołające mię po imieniu. Pobiegłem. Zastałem wielką niespokojność. Nie wiedziano gdzie się podziałem i wyobrażano sobie Bóg wie jakie okropności.

Wszyscy byli bardzo zajęci nagłem wystąpieniem w pole korpusu S a b a n i e j e w a. H. T y s z k i e w i c z, W. S a r n e c k i i A. B ł ę d o w s k i, ludzie wojenni, nie widzieli w tem nic nadzwyczajnego.

— Zwyczajny manewr obchodowy — mówili.

Lecz p. M. S a r n e c k i, kręcił głową, jakby się czegoś niedobrego spodziewał. I uważałem, że nie był spokojny.

— Wietrzę coś takiego — mówił — co mi się nie podoba.

— Cóż naprzykład? — pytał marszałek hajsyński W o ł o d k o w i c z.

— Wyrazić nie mogę, ale że się coś gotuje złego w powietrzu, to pewna.

— Deszcz, grad, burza zapewne, bo cóż innego? przerwał żartobliwie H. Tyszkiewicz.

— Deszcz nie deszcz, grad nie grad, ale za burzę nie ręczę. Może to ja burzę przeczuwam.

W niektórych namiotach było ciemno i cicho. Spali. W naszym i w sąsiednich nikt nie myślał o spoczynku, choć się niejedna powieka sennością kleiła. Jakieś przeczucie zdawało się ciężyć na wszystkich. Co do mnie byłem trapiony oczekiwaniem czegoś straszliwego. Lada łoskot daleki, lada dźwięk wyrazistszy głosu ludzkiego, potrząsały mną febrycznie. Kobiety szczebiotały pomiędzy sobą. Mężczyźni o czemś rozprawiali. Palono fajki, rozrywano się w i s e c z k i e m. Tak przebiegło godzin kilka.

Na wschodzie szarzeć zaczęło. Świt oswabadzał się z nocnej obsłony. Wtem usłyszeliśmy wielki tumult na przeciwnym brzegu. Nikt nie pozostał w namiotach. Wszyscy na brzeg wybiegli. Stan cesarski wrzał ruchem i gwarem. Żołnierze biegli do broni swojej w kozły ustawionej. Szykowały się pospiesznie bataliony, pułki, brygady, dywizye. Słowa komendy odzywały się na różne tony. Starszyzna zwijała się na koniach. Roje sztabowych i adjutantów rozstrzeliły się na wszystkie strony. Konie cesarskie u ganku, on siadł, świta siadła — polecieli.

Zagrzmiały bębny na całej linii. „M a r s z!“ zakomenderowano wojskom. Lecz nim ruszyły z miejsca, już były zaatakowane. Z frontu i z flanków szedł chmurą nieprzyjaciel. Gęstemi salwy artyleryi uderzał. Kolumnami piechoty naciskał. Kawaleryą oskrzydlał. Parł gwałtownie z przodu, z lewej, z prawej strony. Broni się cesarz. Grzmią i jego bateryę. I jego piechota trzyma się odpornie. I jego jazda nie próżnuje. Nadaremnie! Gdyby żelaznym obręczem ściska nieprzyjaciel cesarskie zastępy. Rozwinąć sie im nie daje. Iść naprzód nie dopuszcza. Kotara dymów i ognia zawisła nad ziemią i nic już nam widać nie było, nic zgoła. Gwar tylko chaotyczny, okrzyki, łoskoty, tętenty wstrząsały powietrze, a we mnie zamierało serce od przerażenia, albowiem pewny byłem, że spisek wybuchnął i że już rewolucya swe krwawe rozpoczęła dzieło!

Przecież nie było tak na szczęście! Całej tej komedyi przyczyną było to, że S a b a n i e j e w, człek samodzielny i wódz dbały o dobrą famę nie zechciał być pobitym *ex ordine* przez cesarza a wolał go sam pobić. Zamiast tedy czekać jego natarcia (jak było apriorycznie uchwalono w sztabie), machnął ręką na dworskie fawory, zrobił marsz obchodowy, przeprawił się o kilka werst niżej przez Boh i uderzył znienacka na nieprzyjaciela. Skutkiem tego manewru S a b a n i e j e w a było to, że wygrał kompletnie batalię... za co mu zmyto porządnie głowę i odebrano korpus.

Że zmyto głowę — dopuszczam, bo wykroczył przeciw dyscyplinie. Lecz należało poprzestać na tem i nie usuwać od korpusu jenerała zasłużonego, którego militarne zdolności używały rozgłośnej famy w szeregach. Wszystkich zdziwiła wtedy ta zbytnia surowość Aleksandra względem człowieka, któremu zwykł tyle okazywać względu. Co do mnie, nie dziwię się jej bynajmniej. Aleksander wiedział, czyli raczej domyślał się o istnieniu c z e g o ś groźnego dlań w wojsku. Czuł się w niebezpieczeństwie; nie wiedział tylko o stopniu tego niebezpieczeństwa, ani też zkąd, kiedy i w jakiej się pojawi postaci? Czy buntem masalnym armii? czy pokuszeniem się jednostki na jego życie, trybem D a m i e n'a, J a k ó b a C l é m e n t, lub R a v a i l l a c'a? czyli wprost rewolucyą pałacową, podobną tej, która go po stopniach krwią ojca zbroczonych na tron rosyjski wprowadziła.

Takim sposobem nastrojony nie mógł on nie doznać wielkiego przerażenia, gdy S a b a n i e j e w natarł nań niespodzianie na czele wszystkich sił swoich wbrew

wyraźnej instrukcyi, jaką z jego sztabu otrzymał. Była to rzeczywiście straszna dlań chwila, której zapomnieć ani też przebaczyć Sabaniejewu nie zdołał, bo mu na taki czyn nie wystarczyło szlachetności.

A jednak Sabaniejew był niechcący zbawcą cesarza tej nocy. Pokazało się później, że trzech pułkowników, Pestel, Awramow i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam—mieli się przebrać za prostych żołnierzy, stanąć na warcie u sypialni cara i zakłóć go w nocy bagnetami. Manewr Sabaniejewa przeszkodził temu ich zamiarowi. *) (C. d. n.)

*) W r. 1841 był w Chersonie gubernatorem jenerał Włodzimierz Pestel, młodszy brat konspiratora. Z powodu, że miałem wtedy jeszcze majątek w Chersońszczyźnie, odwiedziłem Cherson i poznałem jenerała Pestela, a że był uprzejmym, ukształconym i nader miłym człowiekiem, łatwo się doń przywiązałem i tak szczęśliwie, że nie bez wzajemności. Będąc za młodym w epoce istnienia spisku, nie mógł on, ma się rozumieć, być inicyowanym. Wiele mi jednak ciekawych rzeczy o spiskowych opowiedział.

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

Należałoby tu przytoczyć także sławną w „Rolli“ apostrofę do Voltaira:

Czy błogo śpisz, Wolterze! a śmiech twój ohydny
Czy po twych bladych kościach dotąd przelatuje?

Ale dosyć przytoczeń; odsyłam was do poematu francuskiego, którego żaden przekład a tem bardziej bezrymowy nie może oddać siły i czystości. Jednak, mówiąc o Rolli, muszę jeszcze jeden ustęp podać, jako dowód głębokiego poczucia natury, cechującego poezyę Musseta, równie jak Lamartina. Rolla, zrozpaczony, ma odebrać sobie życie; ale zanim truciznę wypije, raz jeszcze zagląda przez okno i woła:

„Królu świata, o słońce! Ziemia ci kochanką,
Śnieżny brat twój przy boku usypia ją twoim.
O tyś wiecznej dla siebie zażądał młodości,
Abyś piękność mógł w łono ziemi przelać wieczną!
O wy tam lekkiem skrzydłem lecące jaskółki,
Powiedzcie mi, powiedzcie, skąd mi dzisiaj umrzeć?
Okropne samobójstwo!... O gdyby mieć skrzydła!...
W przezroczystym błękicie chciałbym je rozwinąć!
Powiedzcie, ziemio, nieba — czemże jest jutrzenka?..
Dla czegoż się świat stary z każdego dnia cieszy?
Powiedz zielona trawo; powiedz, ciemne morze,
Kiedy zorzą poranku rumieni się niebo,
Jeżeli wy martwemi, cóż w was jest takiego,
Co sercem wstrząsa naszem i gnie nam kolana?
O ziemio! z twojem słońcem, któż ciebie poswatał?
O czem twe nucą ptaki, nad czem rosa płacze?
Czemu z uczuć miłośnych dziś mi się spowiadasz?
Czegoż odemnie chcecie, już konającego?

Nie trzebaby jednak sądzić o drugim zbiorze poezyi Alf. de Musset z przytoczonych tu poważniejszych ustępów Rolli ani też z jego Nocy, które są może najpiękniejszemi a z pewnością najnamiętniejszemi elegiami miłosnemi, które kiedy wyszły nie z pióra, ale z serca jakiegokolwiek bądź poety. Są i inne wprawdzie wiersze Musseta jako *Stances à la Malibran, Une bonne fortune, Sur la naissance du Comte de Paris, Souvenir, l'Espoir en Dieu*, które są prawdziwymi klejnotami poezyi lirycznej francuskiej tak pod względem uczucia i myśli jak pod względem formy, lubo rytm nie tak jest rozmaitym, jak w utworach Wiktora Hugo. Ale autor powieści hiszpańskich (*Contes d' Espagne*) i „Ody do księżyca“ zachował i w tym drugim okresie ową żyłkę satyryczną i humorystyczną i po części ową nie zawsze przyzwoitą rubaszność, która była największą zaletą jego pierwszego zbioru. *Namonna, Mardoche, Dupont et Durand, Silvia, Simone*, są najpiękniejszymi płodami owej niezrównanej fantazyi, która posługując się z kolei formą Bajrońską Don Żuana, lub wierszem dawnych francuskich satyryków, była najwięcej wówczas podziwianą i stanowiła wziętość poety. Niektórzy, do których się liczę, uważają Musseta za najprawdziwszego, nie chcę mówić za największego poetę francuskiego w naszym wieku. Sąd ten nie zadziwi tych, którzy zastanowią się nad tem, że poezya powinna być przedewszystkiem objawem serca piszącego a zarówno objawem społeczeństwa wśród którego żyje piszący: a podwójnemu temu warunkowi w zupełności zadosyć uczynił Alfred de Musset. Dzieła jego prozą napisane, bądź to przysłowia dramatyczne, bądź krytyczne artykuły, bądź nareszcie większych i mniejszych rozmiarów powieści, a mianowicie: *la Confession d'un enfant du siècle* są uzupełnieniem jego poezyi. Kto je przeczyta, ten pozna i pokocha poetę, ganiąc go często ale z uśmiechem pobłażania i współczucia — a zarazem ten pozna i pokocha społeczeństwo francuskie, żałując jego wad i niedostatków, a nie mogąc się powstrzymać od pewnej sympatyi dla tak zepsutego ale tak dowcipnego, tak szczerego, tak serdecznego w gruncie narodu. Niestety, Musset nie przyczynił się do naprawy tych wad i niedostatków, których był przedstawicielem i ofiarą, a sceptycyzm jego nie lepszym był od kosmopolitycznej doktryneryi innych poetów. O te dwa szkopuły miała się rozbić Francya. Czy krwawa nauka ostatnich lat wyda swoje owoce? Czy przykład Polski odradzającej się moralnie z upadku politycznego posłuży, póki czas jeszcze, Francyi coraz bardziej upadającej?

Na to pytanie przyszłość odpowie, bo dotąd oprócz „Strasznego roku“ Wiktora Hugo, który zresztą nie we wszystkiem odpowiada zadaniu, jakiebyśmy zakreślili narodowemu poematowi, nic nie widzieliśmy we współczesnej literaturze, coby kazało się spodziewać zmiany na lepsze pod tym względem. My tymczasem, cieszmy się że chociażby współcześni i przyszli wierszopisowie nasi nie szli tą samą drogą, co ich poprzednicy, mamy już w poetach pierwszej połowy stulecia naszego skarb niewyczerpany zasobów moralnych, siły narodowej, uczucia patryotycznego, których żaden despotyzm, żadne nieszczęścia, żadne pokusy nie zniszczą, przeciw którym samo piekło przeważyć nie będzie zdolne.

Nieraz już było powiedzianem, że po r. 1830, najwięksi poeci nasi, pod wpływem okoliczności, zmienili w części albo raczej zrozumieli lepiej stanowisko swoje, stali się wieszczami narodowymi. Określono wymownie odrębne to stanowisko; opisano wpływ niezmierny, jaki

wywierały dzieła wygnanych szczególniej poetów na usposobienia całego narodu; wykazano że całe życie narodu skupiło się prawie w poezyi; że streszczenie historyi Polski tych lat dwudziestu jest streszczeniem jej poezyi w tym samym przeciągu czasu, z dołączeniem opowiadań najsroższego prześladowania w kraju i sporów politycznych na emigracyi. Nie potrzebujemy się nad tem rozwodzić. Każdy sam potrafi najlepiej osądzić całą różnicę zachodzącą między tą naszą poezyą narodową a poezyą humanitarną i postępową Francuzów, lubo tak jedna jak i druga miały wspólną cechę ujmowania żywotnych zadań i zstępywania na pole działania politycznego. Natomiast chcielibyśmy naznaczyć pojedyncze podobieństwa i wspólne oddziaływania jednej poezyi na drugą, w tej epoce najserdeczniejszego braterstwa między dwoma narodami.

Już powiedzieliśmy że sprawa polska podczas powstania i na początku emigracyi natchnęła prawie wszystkich francuskich poetów. Później jeszcze, gdy Mickiewicz ogłosił „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" (nie mówiąc o „Posłaniu do braci wygnańców" Brodzińskiego, które nie było znanem przez Francuzów), dzieło to natchnęło Lamennego, owego kapłana rewolucyi, miłośnika ludzkości, który w sławnych *Paroles d'un Croyant* naśladował Mickiewiczowską formę i trzymał się jej ...nie w następujących dziełach poetyczno-politycznych. Ale o narodowości, o przeznaczeniu Francyi, o obowiązkach względem ojczyzny, o tem wszystkiem co jest duszą księgi Mickiewicza, nie ma tu ani wzmianki. Walka l u d u przeciw nieprzyjaznym sobie kastom, wymowne wołanie o równość wszystkich ludzi wobec Boga, zastępują równie obszerny a daleko logiczniejszy i łatwiejszy do urzeczywistnienia ideał dążący do uszczęśliwienia ludzkości przez uszczęśliwienie narodu. Inni jeszcze znakomitsi pisarze tegoż okresu ulegali wpływowi Mickiewicza. Dosyć wspomnieć o pani Georges Sand, która z podziwieniem rozbierała jego D z i a d y i o panu Michelet, który jako kolega Mickiewicza w kolegium francuskiem znał go osobiście i uchylał przed nim czoło z należytem uwielbieniem. Cóż dopiero mówić o hr. Montalembert, który sam przetłumaczył „Księgi narodu i pielgrzymstwa," i od tego czasu stał się tak niezmordowanym, tak wymownym, tak natchnionym obrońcą sprawy polskiej, że jego niektóre broszury i mowy o Polsce razem z pismem J. J. Rousseau o R z ą d z i e p o l s k i m, chętniebym nazwał dziełami jakiego wieszcza narodowego polskiego?

O wpływie Mickiewicza na umysły francuskiej publiczności, podczas jego kursów, bądź przed Towianizmem, bądź po Towianizmie, byłoby wiele do powiedzenia, ale nie wchodzi to w obręb naszego przedmiotu. Tam zaś Mickiewicz nikogo z francuzkich poetów nie naśladował, a w tym okresie uwolnił się najzupełniej nawet od przypomnień Byrona i Göthego: dosięgnął szczytu rozwoju własnego geniuszu poetycznego i dzielności twórczej w poemacie litewskim. Nie dziwię się temu że po „Panu Tadeuszu", poeta zamilkł, bo po takiem arcydziele, nie mógł już wznieść się wyżej.

Ale wtenczas właśnie, obok ciągle śpiewających i coraz bardziej poważniejących Bohdana Zaleskiego i Seweryna Gaszczyńskiego, ukazali się nowi poeci. Nie mówiąc o młodo zmarłym, a zanadto przecenionym przez przyjaźń Adama Stefanie Garczyńskim, Juliusz Słowacki wśród powszechnej obojętności lub niechęci, Zygmunt Krasiński — bezimienny i nie odrazu także zrozumiany, dodali poezyi polskiej wdzięku i ducha, podnieśli ją do sfer nie wszystkim narodom przystępnych, idealnych, tajemniczych, mistycznych, do których unosiła obu wyobraźnia niezrównanej potęgi, nieznanego dotąd polotu.

Poezya od r. 1834 uosabia się we Francyi w Alfredzie de Musset, w Polsce zaś w tych obu w o d z a c h, których ani chwilowe nieporozumienia ani stronnicze wielbicieli ich dzisiejszych uprzedzenia, rozdzielić nie są w stanie. Słowacki był prorokiem, kiedy chciał tę ich nierozdzielność wyrazić w pięknym micie o dwóch braciach L e l u m i P o l e l u m. Byli różnego usposobienia, różnych może w danej chwili dążności, ale te dwie bratnie dusze miały więcej między sobą styczności jak różnicy... *qualis decet esse sororum.* Chociaż Juliusz nazwał raz nie bez dumnej pogardy Zygmunta s z l a c h c i c e m, a marzył że „za nim pójdzie lud", my dziś odpowiadamy mu wierszem Zygmunta „z szlachtą polską polski lud", a widzimy w ich połączonych postaciach dwulicowy posąg całej i nierozdzielnej ojczyzny.

(C. d. n.)

O przywilejach i ceremoniach

w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Drugim wypływem exterytoryalności posłów jest t. z. p r a w o k a p l i c y, t. j. przywilej wykonywania swego kultu religijnego ze współudziałem duchownego i sług kościelnych, nawet gdy religia posła jest w państwie zakazaną. Poseł więc może sobie urządzać w swym domu mieszkalnym kaplicę, utrzymywać właściwego duchownego i gdy dawniej do tej kaplicy dozwolonym był tylko wstęp dla rodziny posła i jego współziomków, dzisiaj nawet poddani państwa, w którem misya jest sprawowaną, mają wstęp dozwolony wbrew żądaniu Kaltenborna. Wyjątek stanowi tylko Rzym, w którym katolikom nie wolno jest odwiedzać protestanckiej kaplicy poselstwa pruskiego. Wszakże zarówno kaplica jak i odbywanie w niej nabożeństwa niczem na zewnątrz odznaczać się wybitnie nie powinny i dlatego zabronionem jest użycie dzwonów i urządzanie procesyi.

Ponieważ poseł w czasie sprawowania misyi, będąc na obcem terytoryum uważa się za przebywającego w swojem państwie, przeto nie może on podlegać sądom obcego państwa i na tem polega jeden z najważniejszych przywilejów posła: w y j ę c i e z p o d c y w i l n e j i k a r n e j j u r y s d y k c y i i s ą d ó w p a ń s t w a, w którem przebywa jako poseł. Skargi cywilne przeciwko posłowi powinny być załatwione w drodze dyplomatycznej, przez odniesienie się do władz sądowych państwa, którego poseł jest poddanym. W razie popełnienia przestępstwa przez posła może mu być udzielonem napomnienie, dwór przy którym jest uwierzytelnionym może żądać jego odwołania

a nawet może być aresztowanym, gdy dopełnia knowań dla jednostek lub państwa grożących. Niektóre dwory odmawiają posłowi pasportu aż do zaspokojenia długów cywilnych. Tak uczynił w r. 1772 rząd francuzki względem Barona v. Wrech ministra Hessen-Casselskiego. W roku zaś 1668 dwór holenderski w areszcie osadził pewnego posła za długi. Również w r. 1708 ambasador rosyjski Matińcow został z tejże samej przyczyny uwięziony w Londynie, a w roku 1765 z inicyatywy posła d' Eon de Beaumont wytoczony został proces przeciwko posłowi hr. de Guerchy obwinionemu o otrucie.

Posłowie dyplomatyczni dawniej posiadali zupełny przywilej wykonywania cywilnej i karnej jurysdykcyi nad swoim orszakiem. Dziś jednakże przywilej ten został o tyle przynajmniej ograniczony, iż posłowie wykonują wstępne tylko procesowe czynności, legalizują akta, poświadczają umowy, mają dyscyplinarną władzę nad orszakiem, w Turcyi zaś i w państwach zaeuropejskich mają posłowie pierwszej i drugiej klasy zupełną jurysdykcyę sądową nietylko nad orszakiem ale i nad współziomkami przebywającymi, ponieważ prawa miejscowe nie odpowiadają pojęciom cywilizowanych narodów, a nadto ponieważ władze miejscowe nie dają rękojmi bezstronności sądu z powodu nienawiści do Europejczyków.

W końcu z tytułu zakrajowości posłowie dyplomatyczni nie ponoszą wielu ciężarów i opłat, które obciążają miejscowych. I tak dom posła nie daje kwatery wojskowej, rzeczy jego nie opłacają cła itp.

Prócz tych przywilejów członków dyplomatycznego ciała, ambasadorowie jako reprezentujący osobę swego panującego mają prawo:

I. urządzania baldachimu w swej sali jako wyobrażenia tronu;

II. nakrycia głowy w obec panującego przy prezentacyi na pierwszej audyencyi i po przybyciu na obcy dwór;

III. jeżdżenia w sześć koni i odbierania honorów wojskowych;

IV. odbierania pierwszej wizyty od ciała dyplomatycznego;

V. odbycia uroczystego wjazdu i uzyskania uroczystej audyencyi, tudzież otoczenia się strażą wojskową.

VI. Małżonka ambasadora ma t. z. prawo taboretu, t. j. zajęcia miejsca w obec cesarzowej i królowej kiedy ta usiędzie. Legaci i nuncyusze długi bardzo czas mieli przywileje upoważniające ich nawet do zwoływania koncilów i przewodniczenia im, zatwierdzania biskupów, rozdzielania urzędów kościelnych. Gdy zaś posłem był kardynał, przywileje jego sięgały jeszcze dalej. Już od czasów reformacyi zaczęły te przywileje być coraz szczuplejszymi, a w r. 1785 w cesarstwie niemieckiem zniesionymi zostały zupełnie.

Przywileje te służą posłowi ze względu na jego misyę dyplomatyczną a nie z powodu jego rodowego, majątkowego stanowiska, tudzież wykonywane są tylko na miejscu misyi, w całem zaś obcem państwie używają bezpieczeństwa osobistego i pewnych honorów.

Ponieważ usposobienie człowieka, jego myśli, uczucie i skłonność wewnętrzna objawiają się tylko za pomocą pewnych form i zewnętrznych objawów, przeto w ogóle w stosunkach ludzkich wyrobiły się pewne towarzyskie formy, mające wyrażać wzajemne usposobienia, przyjaźń, szacunek lub obojętność. Formy te są naturalnym wypływem wewnętrznego stanu ludzi, którzy ze sobą obcują, dlatego istniały one zawsze i wszędzie we wszystkich społecznych zakresach, w towarzystwach, w kościele, w państwie i na dworach. O ile formy te mają na celu okazanie uszanowania i przyjaźni lub oddanie czci i honoru, stanowią zakres ceremonii. W stosunkach politycznych, na dworach i w dyplomacyi z konieczności musiały się ceremonie wyrobić, bo one właśnie mają posłużyć do okazania sobie wzajemnie przez państwa dobrych stosunków i uszanowania. Ceremoniał polityczny, zwany także etykietą, istnieje w dwóch głównie formach: jako ceremoniał dworski i międzynarodowy, według tego czy ogarnia formy używane przy pewnych okolicznościach na dworach lub w zewnętrznych stosunkach państw. Nie ma w dzisiejszych czasach ustawy, któraby przepisywała szczegóły politycznego ceremoniału, bo chociaż na kongresie wiedeńskim wyraźnie zastrzeżono, iż każde państwo wyda odpowiedne dla swego dworu rozporządzenia, to jednak do dziś dnia pomimo upływu lat z góry pięćdziesięciu nic w tej mierze nie uczyniono. Jednakowoż ceremonie te wyrobiły się drogą zwyczaju i od niepamiętnych czasów państwa europejskie częstokroć z pedantyczną, niekiedy nawet do śmieszności posuniętą drobiazgowością przestrzegały ich zachowania. Przesada naturalnie, jak we wszystkiem, tak i w tem jest nieodpowiednią, ale jeżeli ceremonie, zwłaszcza w międzynarodowych i dyplomatycznych stosunkach mają być zewnętrznym, zmysłowym wyrazem uszanowania państwa i jego reprezentantów, to zachowanie pewnych, że tak powiem, istotnych ceremonii, będących naturalnym objawem uznania godności państw, jest koniecznem i słusznem, a dobrowolne, umyślne ich nieposzanowanie musi być uważanem za zniewagę z zamiarem wyrządzoną państwu.

(C. d. n.)

Z „WIECZORNYCH PIEŚNI"

WITOSŁAWA HALKA.

Gdyby tak naraz tę ziemię biedną
Los ze wszystkiego odarł zwodniczy
I tylko miłość zostawił jedną,
Nie czułbym życia goryczy.

Gdyby w treść życia prawdę położył,
A miłość sennem chciał mieć złudzeniem,
Jabym się cicho do snu ułożył,
Nie tęskniąc za przebudzeniem.

A jeśli dotąd tak mi przytomne
Te sny, co w myślach moich się wiły,
O! luba moja! czyż ja zapomnę,
Czyje mię oczy uśpiły?!

Władysław Bełza.

PROMYKI.

(Zasady krytyki lwowskiej. — Kobiety i *Dr. Alfred Zgórski.* — Teatr i *p. Dobrzański.* — Zasługi i braki Zarządu. — Akademia umiejętności w Krakowie. — *Dr. Antoni Małecki*).

Lwów, zwykle obojętny na sprawy zasadnicze nauki, mimowolnie oddał się w biegu ostatnich czasów ożywionej dyskusyi nad pewną kwestyą o zakroju ściśle naukowym; szkoda tylko, że, jak u nas wszystko, przeniesiono rzecz od razu z pola przedmiotowej teoryi na pole osobistości i skandalu. Któż z nas nie patrzy z pewnem zatrwożeniem na szalone i wyziębiające postępy pozytywizmu w Warszawie, które krusząc gmach wielu żywotnych dla ojczyzny pojęć, mogą odsunąć pewną warstwę narodu od baczenia na wysoki cel narodowej pracy? Ale któż razem nie zachwyci się tym żywym ruchem, tem bezpośredniem zainteresowaniem się całego społeczeństwa sprawą nauki, która stać się może sprawą życia?... Tam jest uznanie, że jakiś prąd naukowy powstał, że nie można go obojętnie pominąć i obejść, ale go przyjąć lub zetrzeć bronią przedmiotowej dyskusyi należy. Jeżeli wreszcie jest wiele kropel osobistej goryczy w warszawskim „Przeglądzie tygodniowym“, to jest tam i wiele rzeczy branych na seryo, ze stanowiska czystej nauki. U nas natomiast sprawa i wartość wygłoszonej zasady jednoczy się zawsze ze znaczeniem i wartością głoszącego ją prozelity. Gdy on nie dorósł do wartości zasady, już i ona sama nie ma wartości. Tem zaś gorzej, że u nas nie dostrzedz zupełnie krytyki naukowej, któraby z punktu widzenia nauki zasadę ocenila. Są tylko niedzielni kronikarze dzienników, którzy swym humorystycznym żargonem myśl wyszydzą i—myśl z kretesem wobec publiczności zaprzepaszczona!.. Są oni dziś jedynymi krytykami miasta. A któż by i żądał zasadniczej krytyki od tych, którzy z zawodu swego muszą przechodzić po wierzchu każdej sprawy, bo inaczej staliby się ckliwymi. Na Niedzielę publiczności dawać nie można nauki, tylko dowcip... W każdej zaś sprawie najpoważniejszej da się dopatrzeć od biedy jakaś strona humorystyczna, bogdaj przez dowcipne przekręcenie.

Dla przykładu tylko wspominam o tej kwestyi, która nas zajmowała przez dwa miesiące, a która już w godzinę po jej podniesieniu była dla sumiennej nauki straconą, skoro poszła na języki bardziej złośliwych, niż sumiennych dowcipnisiów. Kwestya emancypacyi kobiety jest dziś najbardziej zasadniczą kwestyą... Ale nim ona zostanie rozwiązaną w sensie społecznym, musiała pierwej swoje słowo dorzucić psychologia.. Od jej to wyroku zależyć musi, czy kobieta może być w całej sferze życia równouprawniona z mężczyzną czy nie? Otóż sumiennie uprawiana psychologia zaprzeczyła temu stanowczo, twierdząc, że ustrój psychiczny kobiety jest odmiennym od ustroju mężczyzny, że kobieta uległą jest bardziej wpływom świata zmysłów, że ma w sobie mniej oryginalnej woli, mniej zasobu myślowego, mniej siły odporu w obec zewnętrznych wpływów, mniej przedmiotowego poglądu na rzeczy, że przezto kobieta skazaną jest na powstrzymanie się od pewnych społecznych pretensyi... Jeżeli za granicą najczcigodniejsi myśliciele szeroko opisali tę sprawę psychicznych różnic i wskazali kobiecie właściwy jej a tak sympatyczny zakres, to wywołało uznanie, może trochę żalu u kobiet, że tak jest, ale nie lekkomyślne dąsanie się, nie osobistą obrazę. Gdy u nas Dr. Zgórski z wielkim zasobem cywilnej odwagi nie powiedział w tej sprawie nic więcej nad to, co za granicą stało się pewnikiem naukowym, gdy owszem w jednogodzinnym odczycie zebrał wyniki najsumienniejszych badań niemieckich uczonych i zawarł w nim szereg wybornych a praktyką życia ciągle stwierdzanych spostrzeżeń, to podniósł się nań krzyk większy, jak ów biblijny na „Ebal i Garizim górze“. A nie był to krzyk w imię żadnej idei naukowej, przeczącej z poważnego stanowiska zdaniom młodego profesora, nie była krytyka, ale porwanie za parę słów wyrzeczonych bez taktu, za parę spostrzeżeń głęboko uzasadnionych, ale wymagających trochę nauki, aby im zaprzeczyć, a nie tylko ambicyi, aby je zagłuszyć... Nikt nie żądał od kobiet przeprowadzenia procesu z psychologią w ręku, ale nie było dowodem, że u nas istnieje sumienna krytyka, gdy w kilku pobieżnych feuilletonach ryczałtowo wyszydzono odczyt, który jeżeli ma jaką wadę, to tę, że nie powiedział żadnej prawdy oryginalnej, za którą odpowiedzialność ciężyłaby osobiście na Dr. Zgórskim, ale powtórzył naukowe pewniki...

Inną sprawą powszechnego w tych czasach interesu było powstanie nowej dyrekcyi teatru. I tu wytworzył się pogląd na rzeczy zmącony, przenoszący wagę kwestyi z pola zasadniczego na pole osobiste. Że był strike prawie powszechny w pierwszych czasach nowej epoki teatralnej, to pewna; że zmowa się rozprzęgła, to zwycięztwo słusznej prawdy... Na rzecz całą można tylko wtedy patrzeć bezstronnie i przedmiotowo, gdy się nie patrzy za kulisy, ale na scenę. Publiczności nawet prawem i obowiązkiem jest — patrzenie wyłączne na scenę i sąd o rezultatach artystycznych, a nie o zatargach w łonie dyrekcyi. Jest wielka gorycz w licznych kołach (i to ma być przyczyną abstencyi!), że głównym teatru kierownikiem jest p. Dobrzański! Nie rozumię, co mi to może przeszkadzać w podziwianiu gry dobrego artysty i w słuchaniu dobrej sztuki, że za kulisą stoi p. Dobrzański, skoro nie wyszedł dotąd na scenę. Dopiero od tej chwili mogłaby jego osobistość, jako artysty, uledz krytyce, ale skoro teatr jest dobrym, skoro repertoarz jest wyborowym a grono artystów licznem i w pierwszorzędne bogatem talenta, skoro bywanie w teatrze może być miłem użyciem i źródłem pięknych wrażeń, to co mi się wtrącać w labirynt kwestyi, czy p. Dobrzański, który postawił na nogi obecny teatr, ma w tem swoje osobiste cele czy nie?... Nie mam pojęcia o przedsiębiorstwie, któreby obok publicznych nie miało i prywatnych celów: skoro jednak te ostatnie nie są w sprzeczności z pierwszymi, pomijam je obojętnie. Zdaje mi się że powiedziałem tu słowo bezstronne.

Braki jednak w nowym zarządzie sceny, są dotąd wielkie. Nie widzę wybitnego kierunku estetyczno-literackiego w układzie repertoarzu, któryby wyrażał pewien zasadniczy pogląd na sztukę, któryby uznawał pewne jej prądy za uzasadnione, inne za błędne, któryby rozpatrzył się we własnej literaturze dramatycznej i wydostał zaprzepaszczone jej klejnociki z zapomnienia, któryby miał zwrócone oko na ruch sceniczny Zachodu i rozpoczął gruntowną pracę około przyswojenia nam wszystkiego coby mogło repertoarz odrodzić i natchnąć wyższym duchem; nie widzę więc zwrotu ani ku teraźniejszości, ani ku przeszłości, a czy nie byłoby godnem wielkiej sceny przedsięwziąć np. systematyczne wprowadzanie na scenę całego (o ile to być może!) Szekspira, Moliera, trochę z Moreta i Kalderona, z Lessinga i Göthego, z Wiktora Hugo i Legouvégo, z Hebbla i Halma?.. Za wszystkich nie starczy Sardou i Dumas!.. Gdyby nawet rozpisywać

konkursy na wzorowe tłumaczenia obcych arcydzieł, nie widziałbym w tem dziwactwa, ale wyższą dążność literacką, ale na przyszłość zasługę Dyrekcyi nie tylko wobec sceny, ale i wobec literatury... Że dotychczasowy kierunek był raczej błądzeniem po omacku i nie wyraził jeszcze żadnej myśli estetycznej, zapewne uniewinnić należy tem, iż czas do zoryentowania się był za krótkim a pierwsze chwile porodu za ciężkiemi, aby się bawić w dalekie programy.

Akademia umiejętności w Krakowie dokonaniem wyboru 12stu pierwszych akademików weszła w pierwszy okres swego rozwoju, ale jakim będzie dalszy, jest rzeczą mglistą i problematyczną. Z poza mgły ossyanicznej, jaką się otacza wszystko, co jest krakowskiem, wychylają się tylko od czasu do czasu wieści, nie powiedziałbym — pocieszające. W ogóle nie wiemy czemu tak nad miarę przedłużać okres wstępny, czemu nie mianować nowych członków z po za Krakowa, którzyby dopiero nadali Akademii charakter ogólno-polski, narodowy, a nie wyłącznie miejscowy?.. Wybór nie trudny. Grono uczonych krakowskich, zasługujących na wybór do Akademii już prawie wyczerpanym, czemuż co prędzej nie powołać do tej wysokiej instytucyi ludzi, jak Libelt, Cieszkowski, Małecki, Duchiński, Szmitt, Kraszewski?.. Jak długo ich tam nie ma, nie ma jeszcze Akademii... Tem bardziej, że ludzie złośliwi opowiadają dziwne rzeczy o projektach krakowskich, o zamiarach powołania osób, których miejsce jest wszędzie indziej, ale nie w akademii umiejętności... Sądzimy, że aby mieć prawo wstępu do niej potrzeba albo okazać zasługi położone dla nauki i literatury, albo wielką c z e ś ć dla niej.. A czy wszyscy projektowani odpowiadają tym warunkom?.. Wątpimy... Mówi przysłowie że *nomina sunt odiosa*, a te, o których mowa, tem bardziej.

W roku bieżącym rozpoczął prof. Dr. Antoni Małecki na wszechnicy lwowskiej odczyty: „o literaturze języka starosłowiańskiego.“ Pomysł zgrupowania w jedną całość niepotraconych dotąd zabytków piśmienniczych z owej doby, gdy Słowiańszczyzna miała jeszcze charakter jednoplemienny, jest świetnym i nowym, a sposób w jaki się wielki uczony wywiązuje z założonej tezy, znakomitym. Pomysły Dr. M. o początku Słowian, lingwistycznej genezie wyrazów: Wend, Słowianin, Serb i t. d. uderzają bystrością i są powołane do stworzenia nowej epoki w poglądach na tę powikłaną sprawę. Nie wolno nam odsłaniać tych misteryi naukowych które Dr. M. pomieści zapewne w Iszym tomie swych: „Dziejów literatury“, pragnęliśmy tylko naznaczyć fakt bardzo ważny.

Miro.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Księżna Jerzowa.“ — „Marya Stuart.“*)

„A jednak i ja byłam we Ferney!“

A jednak mimo wskazówek i ostrzeżeń nie oszczędzono nam widoku najnowszego *piece* Aleks. Dumasa syna: „K s i ę ż n a J e r z o w a“ (*Princesse Georges*). Nie pojmę nigdy potrzeby przyswajania naszej scenie takich utworów. Teatr ma albo cel moralny, cywilizacyjny albo, jak inni sądzą, li tylko estetyczny.

Nie powtórzę treści „Księżnej“, bo nie pragnę szerzyć zgorszenia, ale dowiodę tylko, że w żadnym z powyżej wskazanych wypadków przedstawienie jej na polskiej scenie nie ma słusznej przyczyny. Aleksander Dumas ma szeroki dar wypatrywania pewnych niedogodności życia, wskazywania na jątrzące się rany, przedstawiania ich w upajających połyskiem barw kształtach i niewypowiadania ostatniego słowa w poruszonej materyi. Wszystkim jego prawie sztukom przy świetnej budowie braknie uzasadnionego zakończenia, któreby w nas zrodziło pewność, że sprawę n a l e ż a ł o poruszyć, i któreby nam dało wierzyć, że Dumas jest twórcą myślącym, zdolnym rozwiązywać poważnie i skutecznie kwestye piekące społeczeństwa. Ale tak nie jest... Dumas jest wybornym analitykiem, nie umie podać moralnej syntezy, którąby w sobie mieściła płodną wskazówkę życia. Po jego sztuce zawsze potrzeba się zapytać: „Więc cóż?.. J a k i środek poprawy jest dobrym?..“ Poeta się nie troszczył o wynik moralny, chociaż pozuje na reformatora obyczajowego... W „Księżnej Jerzowej“ przedstawia najszlachetniejszą żonę, wiedzącą, że mąż ją haniebnie zdradza i — przebaczającą... W jednej scenie woła z goryczą księżna de Birac w ten mniej więcej sposób: „kiedy zburzono cały gmach mojej istoty, kiedy mię wtrącono w najczarniejszą przepaść rozpaczy, jakież mi daje lekarstwo p r a w o?.. separacyę, jakie r o d z i n a?.. politowanie!“ A więc podnosi tu broń poeta przeciw bezwładności prawa i rodziny w tym wypadku, gdy kochająca do szału żona uczuwa się zdradzoną.. Problem świetny, gdyby go tylko można rozwiązać?.. Dumas czyni to w ten sposób, że spieszącego na schadzkę miłosną męża powstrzymuje żona, wiedząc, że udanie się na nią przyprawi go o śmierć, bo za kotarą łoża Sylwanii de Terremonde stoi jej małżonek z rewolwerem w ręku.. I oto ma być silniejsza obrona przed zdradą, jak ta, którę dotychczas dawało zdradzonej prawo i rodzina. Ale czyż w tem jest lekarstwo na rozjątrzoną ranę?... Czyż doprawdy mężowie będą zacniejszymi, gdy każda żona pójdzie śladem Seweryny de Birac i mężowi przebaczy, uratuje od śmierci? Dumas tu mojem zdaniem przedstawił apoteozę szlachetnej kobiecości, ale nie wskazał środka na uleczenie rany... Rozwiązał problem psychologicznie, ale nie społecznie... Żadnej płodnej i ogólnej myśli nie ma w takim obrazie, w takiem zakończeniu.. Środek, jaki znajduje prawo jest doprawdy daleko praktyczniejszym, bo rozdziela natury nie dla siebie stworzone; środek, jaki znajduje rodzina, liczy się bardziej z kruchą naturą kobiety, bo wie, że nie każda być może heroiną... Ale bo też i wiarołomność mężów nie jest kwestyą, w któręby się mogło mięszać społeczeństwo; w zacisze rodziny nie mogą sięgać jego instytucye, rodzina powinna w swem własnem łonie czerpać tyle umoralnienia, tyle szlachetności, tyle wysokiego poglądu na sprawę dobrego obyczaju, aby się nie działy obopólne wiarołomstwa. Społeczeństwo dozorować powinno, aby rodzina była tak moralną, iżby w niej zdrady nie popełniono; kiedy ta raz jest faktem, rzecz już nie należy do społeczeństwa... A tak zacną bronią, jak przebaczenie, nie należy wojować w tak lekkomyślnym kraju, jak Francya.. Jeżeli każdy książe de Birac będzie z góry upewnionym, że w swojej zonie znajdzie księżnę Jerzową, cała Francya stanie się budoarem miłostek... A rodzina, cóż rodzina, za którą wielkomyślnie kruszy kopie p. Dumas?.. Ubolewania godnym jest los, jaki wskazuje każdej prawej i prawnej żonie... Dowiodłem jak myślę, że księżna Jerzowa nawet dla Francyi, gdzie zdrada małżonków jest nawyknieniem i potrzebą życia, jest niepotrzebną, rzekłbym nieproduktywną; a cóż dopiero u nas, gdzie kobiety doszukiwać

się muszą dopiero w słowniku rozpusty, słowa: w i a r o ł o m s t w o? Czyż potrzeba aż ze sceny wykładać jego teoryę, wskazywać wszystkie jego subtelności, wszystkie manowce takiego położenia? Sztuka się tak zaczyna: Rozalia opowiada swej pani, że jej mąż, książe de Birac, spędził noc w Rouen, zajechawszy do jednego hotelu z panią de Terremonde.. „Ale przynajmniej wzięli dwa pokoje?“ pyta z drżeniem księżna... „Nie Pani! jeden!“.. Księżna nic nie odpowiada, lecz mdleje... Oto jest punkt wyjścia intrygi, oto jest wątek tej szlachetnej sztuki, która każdę wyobraźnię młodej kobiety pobudzić musi do rozmyślań. Ależ w tym dramacie każdy frazes wytworny, delikatny, spowity w bukiecie wyrazów na pozór skromnych jak lilia, jest zabójczym, jest rozprzężeniem wszystkich węzłów moralnych... Jeżeli więc „teatr ma cel moralny i cywilizacyjny“, jak na początku powiedziałem, księżna Jerzowa nie powinna w nim się ukazać.

A jeżeli teatr ma „li tylko cel estetyczny?...“ To wtedy w obec idealnego zadania poezyi taka sztuka jest zbrodnią... Z dziedziny, gdzie rosną najpiękniejsze kwiaty myśli i uczuć, uprzątywać potrzeba brudny namuł, bo inaczej spragnione ideału umysły nie będą miały jednego zakątka cichego a wzniosłego, gdzieby po mętnych trudach życia mogły się orzeźwić i rozmarzyć pod słońcem bożego piękna... Istota poezyi wykluczyła raz na zawsze ze swej pracowni idealnej ten materyał, z jakiego zbudowaną jest „Księżna Jerzowa.“ Streszczając się powiadam raz jeszcze, że taka sztuka jest w obec naszych stosunków niepotrzebną, w obec moralności wstrętną, a w obec poezyi jej zaprzeczeniem. Że jednak napisaną jest świetnie, że artyzm w opracowaniu całego pomysłu i dyalog podniósł Dumas do wyżyny udoskonalenia, to pewna...

Pani Modrzejewska (Seweryna de Birac), występująca tego wieczora (d. 2 b. m.) w pierwszej roli gościnnej zrozumiała to dobrze, że biedna księżna, jakkolwiek wtrącona w sytuacyę dla niej zabójczą i wysoce dramatyczną, umieszczoną jest jednak na tle świata, który nie zwykł oddawać się całkowicie pewnym wzruszeniom, ale najgłębsze nawet boleści uczuwa tylko połowicznie, w granicach wyższego tonu; odegrała więc swą rolę z wykwintnem i pełnem artystycznego taktu umiarkowaniem. Uczucia i namiętności było tam w samą miarę, nie były to owe wzruszenia tragiczne, o wielkiej grozie i niszczącej sile, jakich dostarczają postacie np. Szekspira, ale jakkolwiek ujęte ramami salonowego konwencyonalizmu, miały w sobie tyle wewnętrznego ożywienia, tyle energicznego uczucia i prawdziwej dramatyczności, ile wymagał obraz kobiety silnej, w objawach uczucia pełnej słodyczy, a w porywach namiętnych hamowanej względami towarzyskości. Tak się grać powinny dramatyczne postacie nowoczesnej komedyi; potrzeba tu delikatności rysów, i unikania zbyt tragicznego nastroju, bo życie postradało tę siłę, w jakiej się objawiać zwykła natura pierwotna. Inne postacie są w sztuce Dumasa nazbyt pobieżnie kreślone i zaledwie epizodycznie w całość akcyi wplatane. Pewien zakrój charakterystyczny ma tylko matka Seweryny, pani de Périgny, dochodząca w swej apatyi do idyotyzmu, który to wyraz bardzo umiejętnie odtworzyła pani Aszpergerowa. Na wszelkie uznanie zasłużyły panie Szymańska (Sylwania) i German (Walentyna de Baudremont), jakoteż pp. Woleński (książe de Birac) i Konarski (Galanson).

We Środę (d. 5 b. m.) wystąpiła pani Modrzejewska po raz drugi w 5-aktowej tragedyi Jul. Słowackiego: „M a r y a S t u a r t.“ Osypany ten brylantami słowa utwór wydał się niby świątynią pogody, prawdziwem *templum serenum* po „Księżnej Jerzowej.“ Postać Maryi Stuart, jak ją nakreślił Słowacki, zwykli są krytycy nazywać charakterem niejednolitym i mozajkowym... Zarzucają poecie dlatego brak dojrzałego wniknięcia w tajemnice psychicznego życia... Nie wiem czemu ta postać przecież wydaje mi się jasną i konsekwentnie przeprowadzoną, a myślę, że i pani Modrzejewska to przyznaje, skoro go tak prawdziwie i konsekwentnie przewiodła manowcami tych wszystkich urojonych sprzeczności... Chodzi krytykom o to, że Marya Stuart, w dwóch ostatnich aktach będąca kobietą na wskróś zbrodniczą, nie łączy się logicznie z Maryą Stuart trzech pierwszych aktów, pierwowzorem słodyczy i tkliwości. Otóż sądzę, że tak nie jest, a gra pani M., będącej tu prawie filozofką, nietylko poetką, uprawnia mnie tem bardziej do mego zdania. Zasadniczym tonem tej postaci jest p ł o c h o ś ć, złączona z kapryśną wyobraźnią i uspioną, ale potężną n a m i ę t n o ś c i ą... A płochość z wychowania lekkiego i pozorów tylko się czepiającego pochodząca, bywa bardzo dobrą, bardzo psychologicznie uzasadnioną rodzicielką zbrodni... W naturze Maryi Sztuart jest zachwycająca słodycz, która więzi przy niej serce nawet takiego dziecka, jak paź marzący o różach z jej łona, ale jest i lekkość obyczajowa, przyniesiona z miękkiego dworu francuzkiego, ale co więcej, jest głębokie poczucie swej siły, jako królowej i jako kobiety, która w swych popędach nie lubi i nie może się hamować. Czy taka kobieta silna i namiętna, mimo słodkich odcieni w duszy, poddaną jeszcze demonicznemu wpływowi ponurego Bothvela, nie może być w IV akcie zbrodniarką?... Tem bardziej, że i Słowacki mający delikatny instynkt poetyczny przy całej mglistości swej fantazyi, nie każe jej być bezpośrednio występną; wszakże ona dokonuje zbrodni ręką Bothvela, nie własną, bo tego nie wie, że w puharze daje mężowi truciznę a nie usypiający napój... Są wady olbrzymie w kompozycyi dramatu, jak to np., że punktem wyjścia całego powikłania jest zabójstwo Rizzia, figury obojętnej dla Maryi, a nie jakiś motyw wzięty z jej stosunku do ukochanego Bothvela, ale postać samej królowej, zwłaszcza w przedstawieniu pani M. ma wszelkie znamiona prawdy. Mistrzowską była też ta gra, uwydatniająca siłę i słodycz Maryi, trochę może tylko za lekko wyrażająca jej nieokiełznaną namiętność. Scena, gdy Bothvel wydostaje z jej piersi straszliwe polecenie, aby zabił Darnleya, jak i cały akt V przeniosły nas na wyżyny sztuki. Jeżeli samo zjawisko takiej Maryi na scenie jest najczystszą poezyą, to gra p. M. cieniująca tak rozumnie każdy wyraz każdy ton duszy, jest szczytną filozofią.

P. Ładnowski (Bothvel) po mniej udanym Ferdynandzie w „Intrydze i miłości,“ przyjednał znowu tą rolą zwolenników swego talentu. Przesyt wraz z przebłyskami niestrawionego jeszcze ognia, tak długo, jak nie miał jasnego celu życia pod sobą, a potem czarna demoniczność, pastwiąca się nad słabą ofiarą, ambicya, nie ta szlachetna patrząca w słońce, ale pracująca w głębi duszy, zawstydzona własną postacią a przecież niezłomna, wyrażoną była w grze p. Ł. szerokimi i potężnymi rysami. Panna Deryng (Paź) wygłosiła balladę o Edwardzie z wytwornem pojęciem, rozumnem stopniowaniem i głębokiem uczuciem. Dodawszy, że p. Baranowski (Douglas) przelał siłę prawdziwie rycerską w niektóre ustępy swej roli, a p. Woleński był dobrym Rizziem, przejdziemy do stron ujemnych przedstawienia. P. Królikowski (Henryk Darnley) nie grał bezwładnego idyoty, w którego ustach porywy zemsty stają się parodyą rzeczywistego zapału, (bo Darnley ma kruchość natury Hamleta w sobie bez jego szlachetności), ale raczej jakiegoś *Raubrittera* z romansu, od którego co chwila mamy prawo oczekiwać czynu, a tu czyn nie następuje. W roli tej potrzeba być słabym, patetycznym w wybu-

chach i łagodzącym się co chwila niedołężnością własnej natury. P. K. szafował patosem nie oryginalnym, przybranym dla tej roli, ale tym sobie od dawna właściwym a psującym stale każdą prawdę jego gry w dramacie. Scenę jednak IV aktu, gdy się pasuje z widmem Rizzia, oddał w kilku miejscach wcale pięknie. P. Kwieciński (Nick) przedstawił nam rzewnego marzyciela, a nie satyryka w błazeńskie dzwonki ubranego i panującego nad sytuacyą swym humorem, pełnym politowania nad królem, ale nie rzewności. Że w IV akcie konający Nick ma chwilę sentymentalnych rozpamiątywań, nie należy już od początku nadawać mu ton liryczny.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

†

D. 4. b. m. zakończył życie w Warszawie tknięty apopleksyą **Stanisław Moniuszko**, twórca narodowej opery polskiej. Ur. w gubernii Mińskiej r. 1819, od najmłodszych lat objawił tak żywą skłonność ku muzyce, że rodzice postanowili w tym kierunku go kształcić. Wysłany w r. 1837 do Berlina, uczył się tam pod Rungenhagenem harmonii i kontrapunktu. W r. 1840 osiadł w Wilnie i począł składać pierwsze swe piosnki, tak urocze prostotą i rzewną melodyjnością. Muzyka do wierszu Mickiewicza *„Niepewność“* uczyniła młodego kompozytora znanym w całej Litwie i nadbużańskich prowincyach. W r. 1846 przybył do Warszawy i wystawił tu pierwszą swą operę *„Loterya.“* W czasie krótkiego w stolicy pobytu zapoznał się z Włodzimierzem Wolskim, który mu wręczył dwuaktowe libretto opery *„Halka“*. Z szybkością błyskawiczną skomponował Moniuszko operę, która go uczyniła sławnym i drogim całej Polsce. Wręczywszy partiturę Dyrekcyi teatru powrócił do Wilna. W roku 1849 wystawił w Petersburgu kantatę: *„Milda“* (słowa J. J. Kraszewskiego), która w r. 1859 z równem powodzeniem wykonaną była także i w Warszawie. W roku 1857 zapadła tu decyzya, aby wreszcie przedstawić spoczywającą w archiwach *„Halkę“*; kompozytor zjechał do stolicy, poprawił i rozszerzył partyturę w cztery akta, i tak wyposażoną nowemi melodyami a mianowicie aryą: „Szumią jodły na górszczycie“ przedstawiono *„Halkę“* po raz pierwszy d. 1. stycznia 1858. Po niej następowały ciągle nowe utwory, które zawierając wielkie bogactwo pięknych myśli i szlachetnego stylu nie dorównały jednak tamtemu arcydziełu swojskiej muzyki. Wymienimy tu: *„Hrabinę“*, *„Flisa“*, *„Ideał“*, *„Betty“*, *„Cygankę“*, *„Straszny dwór“*, *„Paryę“* i ostatnią *„Beatę“*. Prócz tego wydał kilka ulubionych *„Śpiewników domowych“*, parę mszy i litanii do N. Panny Ostrobramskiej, nareszcie wspaniały poemat muzyczny do słów Adama Mickiewicza: *„Widma“*.

Cześć jego pamięci!

LITERATURA i ESTETYKA. P. *Łucyan Malinowski* przygotowuje do druku *„Modlitwy króla Wacława“* zabytek polszczyzny z XV wieku, wykryty niedawno przez śp. hr. Alex. Przeździeckiego. Praca p. M. wyjdzie w Rocznikach Towarzystwa przyj. nauk. w Poznaniu.

— *Pilat Roman Dr. O literaturze politycznej Sejmu czteroletniego* (1788—1792). Kraków. Druk Paszkowskiego 1872. Podamy rozbiór.

— *Vischer Fr. Der Krieg und die Künste.* Stuttgard. Julius Weize 1872. W bardzo zajmujący sposób wykazano tu, jak wiele żywiołu dostarczyła od najdawniejszych czasów wojna poezyi i sztukom pięknym.

— *Vilmar* A. F. C. *Die Genieperiode.* Marburg. Elvert 1872. Znakomity historyk niemieckiej literatury, który wielkie położył zasługi około naukowego zbadania epoki Goethego, pomieścił na niewielu kartkach wiele rysów i uwag, rzucających trafne światło na rozwój wewnętrzny tego poety, jakoteż na charakter całej literatury ówczesnej.

— *Sainte Beuve C. A. Souvenirs et indiscrétions publiés par son dernier secrétaire.* Paris. Levy 1872. Zawierają wiele ciekawych szczegółów biograficznych z życia domowego i rodzinnego St. Beuve'a, przytem drobne rozprawki naukowe, jak: *Philosophie et socialisme.*

HISTORYA. *Dzieduszycki M. hr. Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego.* Z wizerunkiem katedry i jej planem, tudzież kaplicy ogrojcowej. Lwów, nakładem X. Hołyńskiego 1872.

— *Gumplowicz Dr. L. Konfederacya Barska. Korespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim łowczym koronnym w r. 1768.* Kraków, nakład „Kraju“ 1872. Poprzedza wstępny rzut oka na ostatnie lata epoki przedrozbiorowej.

— *Dumont Albert. L'administration et la propagande prusienne en Alsace.* Paris. Didier 1872.

POWIEŚCI. *Zacharyasiewicz Jan. Noc królewska,* powieść z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Lwów F. H. Richter. 1872.

— *Orzeszkowa Eliza. Pan Graba,* powieść w trzech częściach. Tom I. Pająk i muchy. Tom II. Muchy w pajęczynie. Lwów, Bibl. rom. i pow. 1872.

— *Czajkowski Michał. Bulgarya,* powieść sławiańska. Lipsk. Bibl. pis. pol. Brockhausa Tom LX. 1872.

— *Jeż T. T. Siostrzane dusze, powieść.* Warszawa. Nakład *Kolców.* 1872.

— *Turgeniew Iwan. Die Novellen (König Lear der Steppen. Der Fatalist. Der Oberst.) Aus dem Russischen.* Wien. Hartleben. 1872.

PEDAGOGIA. *Schröder Carl. Die gewerbliche Fortbildungschule in ihrer Nothwendigkeit, zweckmässigen Organisation und gedeihlihen Wirksamkeit.* Berlin. Stubenrauch 1872. Uwagi wskazujące na potrzebę umysłowego podniesienia stanu rękodzielniczego, pełne rad praktycznych i gruntownie przemyślanych.

— *Łuczkiewicz Antoni. Szkolnictwo na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania.* Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1872.

TEATR. Teatr *krakowski* zakończywszy d. 3. b. m. *„Piękną Heleną“* sezon letni w Krakowie, wyjechał na 6 tygodni do Poznania i tam rozpoczął d. 6 bm. przedstawienia fragmentem Mickiewicza *„Konfederaci Barscy.“* — W *Lublinie* utworzył się stały teatr pod dyrekcyą utalentowanego komedyopisarza p. *Z. Sarneckiego* i artysty *Texla.* — W teatrze *nadwornym wiedeńskim* przedstawiono d. 24 z. m. z powodzeniem nowy dramat historyczny Murada Effendi (Franc. Wernera) *„Sellim III.“* — *Teodor* Barierè napisał nową 4-aktową komedyę: *„Alix.“* — *Wiktor Joncières,* uczony i wymowny krytyk francuzki napisał operę *„Dymitr;“* słowa podług dramatu Szylera dorobili pp. *Carvalho* i *Henryk Bornier.* — *Verdi* zachęcony niezmiernem powodzeniem *„Aidy“* pisze dla teatru medyolańskiego la Scala nową operę: *„Nero.“* Słowa dorobił p. *Arrigo Boito.* — *Karol Gounod* napisał muzykę do dramatu lirycznego *Ernesta Legouvé: „Dwie królowe.“* Partytura ma zawierać ustępy czarującej piękności, szczególnie chór kobiet błagających o chrzest dzieci. — *Max Bruch* w Berlinie skomponował nową operę: *„Hermione,“* które w tych dniach z wielkiem szczęściem przedstawiono w Berlinie i Bremie.

— PP. *Ceglinski* i *Matuszkiewicz* wydali: *„Album widoków i okolic miasta Warszawy, rysowane i litografowane z natury.“*

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Groma.na